

585851 AE 93

“Res Sacra Miser”

(Szkic Dramatyczny)

Rzecz dzieje się w Małopolsce w czasie
wielkiej wojny

napisał

X. P. S.



1 Odbitka z Dziennika Chicagoskiego

OSOBY:

Matka.

Zosia, jej córka, lat 13.

Józio, jej syn, lat 15.

Znajoma Pani z dwoma córeczkami
Służąca.

SCENA I.

(Scena wyobraża pokój wystawnie umeblowany, świadczący o zamożności. Matka siedzi przy stoliku z ręczną robotą. Opodal Józio przy innym stoliku zajęty rysowaniem.)

Matka (z niepokojem): Zosi jeszcze niema. Nie rozumiem dlaczego nie przychodzi.

Józio: Niech Mama będzie spokojną. Pewno wychodząc ze szkoły zagadała się z koleżankami, nałożyła drogę i dla tego się opóźnia. Ot słyszę już chód jej.

(Słysząc za sceną śpieszne stąpanie. Po chwili drzwi z trzaskiem się otwierają i do pokoju wchodzi Zosia.)

*) „Res Sacra — miser”: znaczy nędza jest świętą rzeczą.... godło instytucji dobroczynności chrześcijańskiej.

SCENA II.

(*Matka, Józio, Zosia.*)

Matka: Jesteś nareszcie!

Józio: Mama się o ciebie niepokoiła.

Zosia (rzucając paczkę książek i zeszytów na krzesło, a na to bezładnie ciepłe okrycie i kapelusz, zadyszana): Zagadałam się... ale nasłuchiłam się coś okropnego!

Józio (żartując): Pewno bolszewicy już blisko?

Zosia: Ot, nie żartuj sobie. Mnie się nie żartować chce, ale płacz się zbiera.

Matka: Cóż takiego ci się stało, Zosiu?

Zosia: Mnie nic. Ale opowiem zaraz Mamie, tylko trochę odetchnę, bom się zadyszała, bojąc się bardzo opóźnić.

Józio (przystając rysować): No, gadajże, co się stało?

Zosia: Ach! Mamo! Co tu biedy w szkole! Wychodzimy na pauzę, każda bierze drugie śniadanie, ja patrzę, jedna z koleżanek, młoda Jadzia, wyciąga z pulpitu gramatykę, idzie na koniec korytarza i uczy się. Ale spostrzegłam, że ukradkiem spojrzała na nas, jak zajadałyśmy śniadanie, wesoło rozmawiając — i westchnęła. A widziałam wyraźnie, że biedaczka miała łzy w oczach. Wie Mama, niemogłam jej zapomnieć. Podczas lekcji wciąż mi ona stała przed oczyma, tak, że pytana, źle odpowiedziałam. Ale niech się Mama za to nie gniewa, bo doprawdy nie wiedziałam o co chodzi, tak byłam nią zajęta. Ach, gdyby Mama widziała,

co za boleść malowała się na twarzyczce Jadzi! Po lekcjach wzięłam ją na stronę i pytałam, czemu nic nie jadła? Czy nie chora, że drugiego śniadania nie jadła? A ona się rozpląkała i powiedziała: „Ja żadnego nie jadłam...!” i dowiedziałam się od niej rzeczy okropnych.

Józio (znowu zaczynając rysować): Ot, to zwykła dziś rzecz! Wszędzie bieda.

Zosia (opowiadając dalej): Mamo, co za nędza w ich domu! Rano nic nie jedzą. Jak dostaną skąd ziemniaków, to na objad mają z tego zupełę; to co zostanie odgrzewa się na wieczерzę. Chleba od dwóch lat nie mają. Pokój nieopalony, bo i węgla nie mają. Jadzia ma ręce całe w ranach. Ach, Mamusi, nie mogłam już słuchać tego, co mi mówiła. Tak mi się smutno robiło! Tak mi żal było, że nie zjadła, co miałam. Byłabym jej oddała.

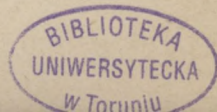
Matka: Bardzo się cieszę, że ci Bóg dał tak dobre serduszko. Trzeba koniecznie wspomóc tę biedną rodzinę. Oto zaraz popołudniu zrobimy paczkę z zapasami.

Zosia: Ale, Mamo, cóż z tego, że raz lub dwa razy im coś damy. Jak im to wyjdzie, znowu nie mieć nie będą. A zresztą od Jadzi dowiedziałam się, że takich rodzin wiele jest. W tym samym domu, gdzie ona mieszka, maleńkie dziecko umarło z głodu, z braku mleka.

Józio: A dla czego nie udadzą się do urzędu o zapomogę?

Zosia: Mówiłam jej, że jest przecież komitet do tego w mieście; są urzędy w starostwie. Powinna matka jej pochodzić za tem.

AE 340826 W. 157/07



Józio: I cóż ona na to?

Zosia: Wystaw sobie, że matka jej była i w magistracie i w komitecie. Odsyłano ją od jednych do drugich. Powiadają jej: „Tu trzeba mieć protekcyę, moja pani. My tu mamy tysiące takich wdów. Ja nic nie mogę. Proszę iść na drugie piętro do pana komisarza, on zajmuje się aprowizacyą.” Idzie biedaczka po schodach z trudem, bo ma astmę, a głodem wycieńczona. A tam jej znowu mówią: „Pani Dobrodziejka nie figuruje na liście, więc nic zrobić nie możemy. Trzeba udać się do pana radcy.” Idzie tam znowu, na drugi koniec miasta, czeka całą godzinę, wreszcie mówią jej: — „Niech pani poda prośbę na piśmie, potwierdzoną przez właściciela domu, a może się coś da zrobić.” Powiada Jadzia, że jej Mama, już nie mogła dalej, ale usiadła na schodach i płakała.

Józio: Przestań już, przestań, Zosiu, bo z głosu widać, że i ty się rozplaczesz. To zresztą nic nadzwyczajnego. Wszędzie tak jest.

Zosia: I tybyś płakał, gdybyś od niej był to wszystko słyszał. Ona bo to wszystko opowiadała, zanosząc się od płaczu, biedaczka. Mama jej w końcu znalazła jakąś dobrą kobietę w okolicy. Dostała od niej parę funtów żyta. Uszczęśliwiona wiezie to żyto. Na stacyi podchodzi żandarm i mówi: „Co to tam pani wiezie?” Zobaczył, co było. „Proszę ze mną na urząd. Spiszemy protokół”, a żyto zabiera. „Ależ, panie, ja mam dwoje dzieci; jestem biedna wdowa.” „A co mię obchodzą dzieci pani!” była odpowiedź.

Józio (żywo): I oddała żyto?

Zosia: Gwałtem zabrał. Mamo! mammo! to przecież oburzające! I co teraz pocznie biedna Jadzia!

Matka: Zrobimy, kochane dziecko, dla niej, co tylko będzie można.

Józio: Jednej się pomoże; a znajdzie się wnet drugą i trzecią. Tej biedy jest dzisiaj moc ogromna. Na to rady chyba już niema.

Zosia: Mamo, dla czego jedni mają aż nadto, a inni biedę cierpią? Powinniby mieć wszyscy jednakowo, toby już biedy nie było na ziemi. Czy nie powinniśmy się odjąć tym, co mają za wiele, a dać tym, co nędzą cierpią?

Józio (wstając od stolika podchodzi do Zosi): Mądraś, mądraś. A wtedy cobyś robiła? Czy miałabyś taką elegancką sukienkę? Czy chodziłabyś tak często do teatru, na koncerta? Miałabyś ty tak drogie zabawki, lalki?

Zosia (rezolutnie): Wolałabym ich nie mieć!

Józio: A potem, jak dorośniesz, czy potrafisz pracować po fabrykach? zarabiać sobie na życie? A tak, masz wszystko gotowe. Wyjdiesz bogato za mąż i będziesz szczęśliwa.

Zosia (wstaje i tupie nóżką): Nie, nie, nie — i ja chcę pracować! (do matki) Mamo, czy to co złego pracować tak, jak proste robotnice?

Matka: Nie, moje dziecko. Żadna praca nie poniża człowieka. Widzisz, w Ameryce, jeśli urzędnik straci miejsce, to idzie na prostego robotnika do fabryki, a żona i córki zarabiają usługując w restauracyach. I nikt tego za złe niema. Nikt się temu nie dziwi. Uczeń nie może dokończyć ko-

legium, bo go nie stać na to. Idzie tymczasem do fabryki, zapracuje trochę grosza i kończy szkoły. I dlatego, że się żadnej pracy nie wstydzą, Amerykanie tak wysoko stoją i dziś Europie prawa dyktują.

Zosia: Mamo, niech mię Mama każe uczyć szyć, gotować, pracć, wszystkich robót najpospolicznych, abym mogła potem pracować jak inne.

Józio: Ot, to, to dobre. Ucz się Zosiu, ucz się. To ci się zdać kiedyś może. Dziś nikt nie jest pewnym, co go czeka. Tyle dziś widzi się osób, dawniej zamożnych, a teraz nie mają z czego żyć i będę cierpią ogromną. A gdyby umieli zabrać się do pracy jakiej, tak źleby im nie było, i choćby ich ludzie wszystko, co mają, pozbawili, mogliby się znowu czegoś dorobić.

Zosia: A widzisz, że miałam rację, że ludzie powinni się tak urządzić, by wszyscy byli równi, mieli wszystko jednakowo, a nie dopiero czekali, aż tym, co są majątniejsi, wszystko gwałtem odbiorą i do takiej równości zmuszą siłą.

Józio: Ot gadasz niewiedzieć co! Niby to człowiek zechce być równym. Co robią bolszewicy w Rosyi? Niby chcą równości. Odbierają tym, co mają, by dawać tym, co nie mają, i co z tego? Znowu nierówności. Oni mają wszystko, a ci, co mieli, nie mają. Więc potem ci zechcą równości, i znowu przyjdzie do tego, że tamtym zaczną odbierać. A co za korzyść, jak nikt nie jest pewnym swego? Wtedy nikt nie pracuje. Ustaje praca wszelka i dopiero przychodzi bieda. To też dzienniki piszą, że

w Rosyi obecnie ogromna bieda. Nikt nie pracuje. Czy głupi pracować nie dla siebie!

Zosia: A żeby tak rozdzielić wszystko, co jest, między ludzi? każdy miałby dosyć i pracowałby dla siebie.

Józio: Ale też zaraz powstałaby nierówność. Ten, co by pracował gorliwiej i umiejętniej, miałby więcej, a inni mniej.

Zosia: Coby miał więcej, toby mu się odebrało.

Józio: A komu dało?

Zosia: Temu, co by miał mniej.

Józio: To wtedy niktby nie pracował. Bo co mu z tego, że się dorobi, kiedy musi to oddać. A i drugiemu, co z tego przyjdzie, że będzie więcej pracował, kiedy i tak dostanie, choćby mniej miał.

Matka: Józio ma rację, Zosiu.

Zosia (ze smutkiem): A więc już nie może być lepiej na ziemi?

Matka: Widzisz, moje dziecko, Pan Bóg pozwolił na nierówność mienia, bo ta nierówność konieczną jest i sama z siebie przychodzi. Człowiek sztucznie równości nie otrzyma. Ale Pan Bóg bogatszym nakazał wspomagać biedniejszych i to nakazał pod grozą utraty nieba. Nie dawno uczyłaś się o tem w katechizmie. Pamiętasz co Pan Jezus na Sądzie Ostatecznym powie do tych, co zostali potępieni i mają iść do piekła.

Zosia: Wiem, wiem (recytuje prędko, jednym głosem, po szkolnemu). „Byłem głodny, a nie nakarmiliście mię; byłem nagi, a nie przyodzialiście mię; byłem spragnionym, a nie napoiliście mię.”

A oni powiedzą: „A gdzieśmy cię widzieli głodnym, nagim, spragnionym?” A Pan odpowie: „Coście biednym nie uczynili, mnieście nie uczynili.”

Matka: Więc widzisz, Pan Bóg przykazał, by każdy co ma nadto, co potrzebuje, dawał niemającym. A gdyby to ludzie ściśle wypełniali, nie byłoby biedy na ziemi. Wówczas wszystkie zbytek różnice byłyby dobrowolnie wyrównane, z korzyścią dla tych, co mniej mają, a z zasługą dla tych, co mają więcej; bo pamiętasz, jak powiedzianem będzie do tych, co do nieba iść mają?

Zosia: Wiem. „Byłem głodny, a nakarmiliście mię; byłem nagi, a przyodzialiście mię; byłem spragniony, a napoiście mię.”

Matka: I dla tego, kto jest bogaty powinien wspierać biednych, inaczej się nie zbawi. Majętność nakłada na bogatych wielką odpowiedzialność, to też Pan Jezus powiedział, że „łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niżli bogaczowi wejść do nieba”.

Zosia (żywo): A więc nie podobna, żeby się zbawił bogaty? Boć wielbłąd nie przejdzie przez ucho igły.

Józio: A to niewiesz jak X. Katecheta to tłumaczył? Ucho igły była to jedna z bram Jerozolimy, przez którą przechodziły wielbłądy z towarami, a tak była wąską, że z trudem wielkim obciążony wielbłąd mógł przejść przez nią. Trzeba mu było zrzucić część towarów.

Matka: Dobrze Józiu, że tak zapamiętałeś to, czegoś się uczył. A musiała być to brama bardzo

wązka, skoro Apostołowie Pana, na owe Jego słowa, odpowiedzieli: „Któż tedy może być zbawion?” Pan Jezus odpowiedział, że możliwem to jest, ale trudno — bogatym, jeżeli się nie pozbędą części swego mienia, jak wielbłądy części swych towarów.

SCENA III.

((*Ciż, służąca, znajoma pani z córeczkami.*)

Służąca (wchodząc): Proszę pani, przyszli goście.

Matka: Poproś.

(Wchodzi znajoma pani, elegancko ubrana, z dwoma córeczkami wystrojonymi. Józio grzecznie się kłania, to samo Zosia, która serdecznie ściska się z panienkami.)

Znajoma: Witam panią. Na chwilę tylko wstąpiłam z prośbą, by pani pozwoliła wziąć Zosię na wspólną przejażdżkę. Jedzie całe nasze towarzystwo dziewczynek.

Zosia (do matki): Mamusiu droga, proszę mi pozwolić. Ja się tak cieszę. Już dawno marzyłam o wycieczce. Ciągle w domu siedzę.

Matka: Ale dziś zimno. Można łatwo zaziębić się, jadąc koźmi.

Znajoma: Mamy z sobą pod dostatkiem szalów. Okryjemy dobrze Zosię.

Zosia: Ach, Mamusiu, proszę mi pozwolić. Ja się nie zaziębię.

Córeczki: I my bardzo prosimy. Zosia się zabawi i nam miło będzie.

Zosia: Mamusiu, ja tak proszę.

Józio (z cicha do Zosi): A cóż? o Jadzi już zapomniała?

Zosia (opryskliwie): A nie nudź mię!

Józio: Wstydź się, Zosiu.

Matka: Jedź tedy Zosiu. A pani bardzo dziękuję, że tak o nas pamięta.

Zosia (uradowana podskakuje, ściska Matkę i do panienek): Lećmy! lećmy!

(Panie żegnają się — *Józio* grzecznie się kłania.)

SCENA IV.

(*Matka* — *Józio*.)

Józio (poważnie zamyślony): Więc naprawdę, Mamo, tak trudno bogatym się zbawić! Teraz mi się przypomina, co nam kiedyś powiedział X. Katecheta, że w Ewangelii niema nic o tem, żeby ów bogacz, co poszedł do piekła, był wiedział o Łazarzu, lub go był widział. Więc za to potępiony został, nie żeby odmawiał był proszącemu, lub z nim źle był się obszedł, ale że kiedy sam ucztował, u wrót jego z głodu umierał Łazarz. Więc bogaci obowiązani są nie tylko udzielać proszącym, żebrzącym, ale wywiadywać się o nich, starać się, by około nich biedy nie było. Ale ludzie o tem na seryo nie myślą i stąd tyle biedy na świecie.

Matka: Są, dzięki Bogu, tacy; ale ich zbyt mało, skoro tyle biedy jest.

Józio: Powiadają, że jak tylko pokój będzie, to rządy zabiorą się do tego, ażeby lepiej było.

Matka: Moje dziecko, rządy nie starczą. Widzieliliśmy w czasie wojny, jak na wszystkie strony okradano samże rząd. Ludzie na biedzie ludzkiej miliony zarabiali. Gdzie niema sumienia, tam żadna kontrola nie zaradzi. A sumienia bez wiary niema. Jeśli się nie ogląda na Boga na wieczność to wszelkie zarządzenia i ustawy łatwo się obchodzi.

Józio: W szkole mówią, że piekła ani nieba niema; że to wymysł księży.

Matka: Więc się też ludzie na nic nie oglądają, a tylko na swój interes, na swoją kieszeń. I bogaci nie myślą o tem, że się nie zbawią, jeśli uczynnymi nie będą, więc z dobroci serca, od niechcienia, coś robią; ale to nie jest to, czego od nich Pan Bóg wymaga. A biedni znowu, nie wierząc już w to, że ich czeka za to większa nagroda w niebie, że tu na ziemi cięższe mają życie, i że w biedniejszym stanie łatwiej od bogatych się zbawią, nie mogą znieść swego ubóstwa, narzekają i do gwałtów się uciekają, co ich dołę tylko pogarsza.

Józio: Mamo, a czy czasem ta twardość i nieużytość bogatych nie mści się teraz przez te pogromy na nich, przez te napady, które tyle rodzin już do nędzy doprowadziły?

Matka: Da Bóg, będzie lepiej. Nauka, jaką dają wypadki, nie pójdzie w las. Już dzisiaj wszyscy rozumieją, że nie można tak lekceważyć klas uboższych. Przygotowują się ustawy państwowe, aby zaspokoić słuszne żądania. Rychło się przekonają, że same rządy tego nie dokażą. Bo czy kto potrafi zaspokoić ludzi, którzy chcą mieć zawsze

coraz więcej? Jedna tylko wiara może tego dokonać: więc się postarają w końcu, aby religia w szkołach była w większym szacunku i będzie się pomagać duchowieństwu w jego pracy, nie zaś przeszkadzać.

Józio: Ale teraz bieda się szerzy. Nie tylko u Zosi w szkole, ale i u nas nędza wielka. Jeden mój kolega, zdolny bardzo, nie może się uczyć, bo nie ma za co kupić książek. Ja mam u Mamy pieniądze oszczędzone, oddawna nie ruszane. Musiało się tam dosyć nabierać. Niech mi Mama je da, a kupię mu książki potrzebne. Jest też u nas chłopak jeden, który przychodzi boso do szkoły. Nogi ma całkiem pąsowe od zimna i biedak cierpi okropnie. Niech mi Mama pozwoli (całuje ją w rękę) oddać mu parę bucików. Mam przecież aż trzy pary.

Matka: Jakto trzy? Masz przecie pięć par.

Józio: Tak, Mamo; ale dwie pary już są zniszczone, a tych nie dałbym mu. On przyjąłby i takie; ale mogłoby mu być przykro. A ja nawet wstydzilibym się dawać mu stare obuwie; zresztą nie na długoby mu się przydały.

Matka: Dobrze, moje dziecko. Cieszę się, że rozumiesz, że jałmużnę trzeba dawać z pewnem uszanowaniem dla ubogiego, tak jak brzmi napis na Towarzystwie Dobroczyńności w Warszawie „*Res Sacra Miser*”: Ach, jakże dalecy jesteśmy od tego uczucia, jakie mieli Święci, którzy uważali ubogich za swoich dobrodziejów!

Józio: A co to znaczy, Mamo, *res sacra miser*. Uczę się łaciny, ale tego nie rozumiem.

Matka: To znaczy: *Nędza to rzecz święta*. — Zresztą, za mało jeszcze żyłeś na świecie, nie masz doświadczenia życiowego, żebyś to teraz dobrze zrozumiał.

SCENA V.

(*Drzwi otwierają się z łoskotem. Wpada Zosia.*)

Matka i Józio (razem): Co? już? tak prędko?

Zosia (skwaszona): Nie udało się! Zabrakło dla wszystkich powozów; bo dziś tak trudno o konie i choć obiecałyśmy zapłacić, ileby tylko żądano, żaden doróżkarz nie chciał jechać, a do dwóch powozów nie mogłyśmy się zmieścić. Pojedziemy na przyszły czwartek. Niech mi Mama da moje oszczędności. Muszę przecież towarzyszki we czwartek poczęstować. Chcę nawet kupić dla nich białych ciastek, jak przed wojną. A że to bardzo drogie, więc może mi Mama coś doda. Ale co, to, to już mi musi Mama zrobić (całuje poręczach, z przymilaniem się). Panienci były wszystkie tak strojnie ubrane, że ja przy nich wyglądałam jak kopciuszek. Niech mi Mama kupi nową, ładną sukienkę.

Józio: A mówiłaś, że wolałabyś nie mieć takich sukienek, patrząc na okropną biedę twoich koleżanek.

Zosia: Mamo! On mi dokucza. Uwziął się na mnie dzisiaj.

Matka: Nie, droga Zosiu, on chciałby tylko zwrócić twoją uwagę, że tak niedawno byłaś pełna gotowości na ofiarę wszelką; a teraz tak prędko

o wszystkim zapomniałaś. Widzisz, Józio, choć się tak nie zapalał, tylko co mię prosił, bym mu jego oszczędności oddała, bo je chce użyć dla biednych. Nię tak, jak ty.

Zosia (spogląda na Józia ze zdziwieniem i pokornie): Prawda, żem trzpiot. Zapomniałam się: i ja chcę zająć się biednymi koleżankami; ale dla czegoż nie mam przytem się zabawić?

Matka: Zabawić się możesz; ale trzeba trochę oszczędzać. Widzisz, taka wyprawa we czwartek i ta sukienka, którą chcesz, wszystko to ogromnie kosztuje.

Zosia: Ale nas przecie stać na to.

Matka: Stać, to prawda. Ale tak żyjąc, nie będziemy mogli pomagać biednym. Chcąc innym świadczyć miłosierdzie, trzeba sobie ująć, ograniczyć się, uszczuplić sobie, nie wyrzucać pieniędzy na fraszki, słowem trzeba nauczyć się oszczędności i odmawiania sobie niejednej rzeczy. Ty np. chcesz mieć tak ciepło w pokoju, że aż gorąco, wytrzymać nie można, co nawet jest niezdrowo. A gdybyś ten węgiel oszczędziła, jaki dla ciebie niepotrzebnie spalono, ilużby biedaków było się ogrzało tej zimy!

Zosia (pokornie): Prawda, Mamo.

Matka: Wciąż chcesz nowych sukienek. — Prawda, że je prędko znaszasz. Ale gdybyś więcej na siebie uważała i te znoszone twoje sukienki mogłyby jeszcze służyć niejednej biednej dziewczynie.

Zosia (coraz pokorniej): Prawda Mamo.

Matka: Pamiętasz, jakieś się napierała w karnawale pączków, że aż trzeba było, żeby cię u-

spokoić, o nie się postarać, choć wiedziałaś, że to nawet zabronionem było?

Zosia: Ach prawda, prawda, Mamo.

Matka: A pamiętasz coś wyrabiała, gdy raz na śniadanie nie było białego chleba? Co to były za fochy! jakie narzekania! A Jadzia nigdy przez wojnę chleba nie jadła.

Zosia: Prawda, Mamo. Ale cóż z tego, gdybym była mój chleb jej oddała. To onaby miała, a jabym nie miała. A ona nie przyzwyczajona do takiego chleba. Ona, pewno, wolałaby chleb czarny.

Matka: Pamiętaj, Zosiu, że im więcej będziemy sobie dogadzać i na wszystko, czego nam się zachce, pozwalając, tem mniej będziemy mogli pomagać biednym. A jeśli będziemy żyli wystawniej, niż na to czasy pozwalają, jeśli nie będziemy stosować się do ogólnych warunków, w jakich żyją dziś ludzie, to nie będziemy odczuwać położenia, w jakim się znajdują biedniejsi od nas. A wtedy, kto się upomni o polepszenie tych warunków; kto będzie się starał o to? Każdy z bogatszych, co ma wszystko, bo mu stać na wszystko, powie sobie: „Masz ty, to siedź cicho!” i do tego przychodzi, że jak się zdarzyło, w gazetach głoszone, że w pewnej miejscowości tak źle z wyżywieniem nie jest, kiedy tam ludzie biedniejsi, od dawnego bardzo czasu, chleba nie mieli! A gdy sam rząd rozesłał był starostom pieniądze na zapomogi dla zgłodniałych, jeden z nich odesłał je z tem, że w jego powiecie takich niema! Bo mu się nie chciało dopytywać, dochodzić i sprawdzać stanu powiatu. A może u drzwi niejednen Łazarz z głodu umierał.

Zosia: Mamo, już nie chcę nowej sukienki. Na wycieczkę nie pojedę; a pieniądze moje zachowam dla Jadzi.

Józio (uradowany): Brawo Zosiu!

Matka: Możesz jechać i w tej sukience, jaką masz. Zadowolnij się tem, co pewno na wycieczce będzie dla wszystkich, a nie miej pretensyi grać roli wielkiej pani, częstując panienki. A tak i sama się zabawisz i dla biednych oszczędzisz swoje pieniądze.

Józio: Nie, Mamo, nie zabawi się Zosia. Lepiej niech nie jedzie. Mało się nie rozplakała, widząc Jadzię, spoglądającą smutno na koleżanki, które jadły śniadanie. Będzie jej przykro, gdy na wycieczce napotka biedne dzieci, smutnie patrzące na nią, zabawiającą się i uczującą.

Zosia: Tak Mamo, Józio ma rację. Przykro mi będzie. Niech Mama mię wytłumaczy i przeprosi naszą znajomą, a mnie pozwoli pozostać z Józkiem. My się razem lepiej zabawimy....

Matka: Dobrze Zosiu. Z ofiary, jaką w tej chwili robisz, pewno cieszą się Anieli w Niebie. Nieudana wycieczka więcej ci przyniesie szczęścia prawdziwego, niż gdyby wypadła jak najświetniej. A mnie ta nieudana wycieczka bardzo uradowała i pocieszyła. I Józka, widzę, także.

Józio: O tak Mamo! A ja jeszcze więcej poko-chałem Zosienkę.

Zosia (rzucając się w objęcia matki): O Mamo! Mamo! jaka ja szczęśliwa! I najpiękniejsza wycieczka w strojnej sukience, przy wesołej zaba-

wie i najlepszych łakociach, nie byłaby mię tak ucieszyła, jak ta, nieudana!

Matka: Widzicie dzieci, ile szczęścia nam daje każdy dobry uczynek. I samaż ta nędza, która nas otacza, ileż dobrego nam czyni, skoro obudza w nas uczucia tak uszczęśliwiające i pobudza do uczynków zbawiennych. Teraz rozumiesz Józku, co znaczy: *Res sacra miser?*

Józio: O! rozumiem, rozumiem, Mamo!



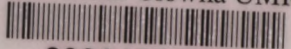
201-

Arch. Emigracji

Biblioteka
Główna
UMK Toruń

940826

Biblioteka Główna UMK



300043343645

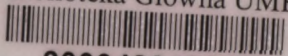
201-

Arch. Emigracji

Biblioteka
Główna
UMK Toruń

940826

Biblioteka Główna UMK



300043343645

